

Dyletanci na stos

16 grudnia 2010

Nadwiślańscy publicyści zaczynają zauważać, że realny stopień suwerenności Polski dziwnie nie odpowiada powszechnemu mniemaniu Polaków.

Państwo czterdziestomilionowego narodu w sercu Europy coraz bardziej wygląda jak „kongresówka”, zarządzana na przez partię „niemiecko-rosyjską”.

„Mądrzejsi” tłumaczą to sobie, że tak musi być, ponieważ mamy do czynienia z powszechnym „trendem” globalizacyjnym; inni jednak zauważają, że dookólne państwa wydają się być bardziej suwerenne i pytają dlaczego.

Zdumiewa brak debaty nad zdefiniowaniem polskiego interesu. A przecież czasy są trudne i znaczące figury śmigają po europejskiej szachownicy. Być może ktoś to w Polsce zauważy, bo na razie polityczne rozmowy publiczne przypominają dialogi na cztery nogi.

Zauważył to ze zdziwieniem jeden z amerykańskich zawodowych obserwatorów George Friedman z Instytutu Stratfor. Napisał w kolejnym odcinku cyklu „Geopolitical Journey”, że w Warszawie jego polscy rozmówcy dziwnie nie zdradzali niepokoju o bezpieczeństwo kraju, zasłaniając się UE i NATO oraz wskazując na wyjście Białorusi i Ukrainy spod rosyjskiej kurateli, jako swego rodzaju bufor.

Friedman ripostował, że przecież Niemcy na nowo definiują dzisiaj swe miejsce wewnątrz Unii, a dzieje się tak za sprawą odżywającego resentymentu szeregowego Helmuta, któremu wydaje się, że musi pracować na całą Europę, ratując bankrutujących nierobów. Sama kanclerz Merkel przyznaje, że Niemcom nie w smak jest pracować do 67 roku, kiedy Grecy już od 57 roku życia bczą się do góry brzuchem.

Powiem, że warto przy okazji przypomnieć – iż poczucie krzywdy było kiedyś jednym z głównych motorów renesansu niemieckiego nacjonalizm. I tym razem musi się ono przełożyć się na wzrost niemieckiego tupetu wewnątrz Europy – stawiania warunku „harmonizacji” systemów socjalnych i finansowych poszczególnych państw członkowskich, tak żeby jednak na Niemców też ktoś pracował...

To jedna ze zmian, które w Polsce są przemilczane. W rozmowie z Friedmanem niewymieniony z nazwiska polski polityk miał powiedzieć, że Polakom nie przeszkadza bycie państwem klientem UE – nawet klientem UE kierowanej przez Niemcy, dopóki Polaków się nie zaniedbuje.

„- Kiedy wspomniałem o utracie przez Polskę suwerenności – przytacza Friedman rozmowę – on stwierdził, że są różne rodzaje suwerenności i utrata możliwości suwerennego kształtowania budżetu nie oznacza koniecznie utraty narodowej suwerenności”. Friedman przekonywał jednak, że to, w jaki sposób państwo opodatkowuje i rozdziela swe dochody, jest istotą suwerenności, ponieważ bez tego polskim władzom pozostanie być może w gestii możliwość ogłoszenia „ogólnokrajowego miesiąca jedzenia lodów”, ale takie sprawy jak obrona czy oświata będą dyktowane przez Niemców. Jeśli proces tworzenia budżetu wyjmemy z rąk suwerennego państwa, suwerenność traci znaczenie – dowodzi Friedman i wie, co mówi, bo bywał tu i tam.

Podobne mrzonki w myśleniu polskich polityków dotyczą Rosji, która także od nowa szuka pozycji w układzie geopolitycznym i która sprawnie odbudowuje tradycyjne wpływy. Tymczasem – w rozmowach z Friedmanem – polscy politycy nie przejawiali żadnego zaniepokojenia rosnącym współdziałaniem i bieżącymi konsultacjami dyplomacji Niemiec i Rosji.

Warto całość przeczytać na stronach Stratfor: „Geopolitical Journey, Part 7: Poland” i zastanowić się, dlaczego nasz wielki naród roi się od cyników i pożytecznych bawidamków na

wysokich stanowiskach; zastanowić się, jak ich wrzucić do worka i jak podjąć pracę nad oświatą narodową.

Zacytuje jeszcze tylko na koniec jedno boleśnie prawdziwe zdanie: „-Zagwarantowanie polskiej suwerenności jest przede wszystkim sprawą polskiego narodu. Żaden zaś naród nie powinien scedować kontroli nad podstawowymi prerogatywami, jak gospodarka, na rzecz organizacji międzynarodowych, szczególnie zaś tych zdominowanych przez jego tradycyjnych historycznych wrogów jak (w przypadku Polski) Niemcy”.

Opiniotwórcze elity Polski wstydzą się dzisiaj słowa naród, i robiąc dobre miny, walczą w chocholim tańcu. Co tu zresztą mówić o pisarczykach, skoro sami „twardzi” politycy jądra władzy, co to powinni być doinformowani jak James Bond, pływają we mgle jak sztubacy. Z ujawnionych depesz amerykańskiego ambasadora w Warszawie wynika, że Polacy, negocjując nie tak dawno ewentualne stacjonowanie w pobliżu stolicy rakiet „Patriot”, nie zdawali sobie sprawy, że będzie to „bateria nieuzbrojona”, czyli wyrzutnie bez rakiet, zaś strona amerykańska zastanawiała się, jak o tym delikatnie Polakom dać do zrozumienia. To już zakrawa – mówiąc po amerykańsku – na „Polish joke” i pokazuje, w jak głębokim dole jesteśmy.

Przypominam te smutne rzeczy nie po to, byśmy się przygnębili i poszli na wódkę, lecz byśmy założyli gumki i szli pracować do ludzi. Naród może się dźwignąć nawet przez jedno pokolenie. Upadaliśmy już tyle razy, że może tym razem Pan Bóg da wytchnąć. Musimy tylko dać Panu Bogu szansę i popracować nad losem.

Na razie pokazujemy sobie samym, że jesteśmy gospodarczo bardzo zaradni, potrafimy budować przedsiębiorstwa i zarabiać. Pora, by tę umiejętność przełożyć na budowanie geopolitycznej siły – polskiej realpolitik, wyzwolonej ze smutnych miraży całopalnej ofiary, straceńczych walk, mesjanistycznych wątków, a ubranej w rozsądne myśli nowoczesnego Polaka.

Coraz więcej ludzi w Polsce ma zdrowo poukładane pod kopułą, pora, by zaczęli nadawać ton narodowej debacie i dorobili się mediów z prawdziwego zdarzenia. Wiadomo, że czasy są trudne. Ale kiedy były łatwe?

Autor: Andrzej Kumor

Źródło: [Goniec](#)